

Bilans Wojny na Ukrainie



Polacy pozbawieni prawie zupełnie własnych niezależnych mediów, atakowani zewsząd nachalną anglosaską propagandą zupełnie nie orientują się w rzeczywistym przebiegu wojny na Ukrainie. Ta zamierzona przez zagranicznych decydentów niewiedza w zasadniczym stopniu kształtuje ich świadomość i powoduje, że podejmują coraz gorsze decyzje dotyczące fundamentalnych spraw związanych istnieniem państwa i narodu.

Wielu trzeźwych obserwatorów domyśla się, że informacje o wielkich zwycięstwach i kontrofensywach Ukraińców to produkt czysto pijarowy, zmyślony i przez nikogo niepotwierdzony. Bo jakie to miasto na przykład w ciągu tych 55 dni wojny odbiły siły ukraińskie? Jakie oddziały rosyjskie pokonały? Wszystkie to „sukcesy” okazywały się być po paru dniach sfabrykowanymi kolażami, przerobionymi w Photoshopie zdjęciami, wymyślonymi mitami, jak np. tzw. „Duch Kijowa” – pilot, który miał zestrzeliwać rosyjskie samoloty, a który w ogóle nie istniał.

Cel narzucanej w ten sposób Polakom propagandy był oczywisty- zbudowania przeświadczenia, że pomaganie Ukrainie ma głęboki sens, że nasze wysiłki przybliżają „ostateczne zwycięstwo” słusznej sprawy. Ten medialny pressing pomagał też niewątpliwie w przeprowadzaniu narzuconej nam przez USA przymusowej mobilizacji naszych wszystkich zasobów: militarnych, finansowych, gospodarczych na rzecz wschodniego sąsiada. Dzięki temu Polacy sami oddają wszystko to, co mają najlepszego Ukraińcom –ostatnią sprawną broń, żywność, amunicję, paliwo. Wielu z nich nawet zaciąga się, jako najemnicy do prywatnych armii organizowanych przez

nacjonalistów. Nikt nie zastanawia się, czy wszystkie te wysiłki i całe to oszalałe „wzmożenie” będzie miało jakikolwiek sens i pożytek zarówno dla Ukraińców, jak i dla Polaków. Wściekła propaganda mainstreamowa eliminuje wszelkie próby refleksji a każdy, kto odważy się na niezależnie myślenie jest piętnowany, jako zdrajca i obcy agent a tabuny zindoktrynowanych bogoojczyźnianych tzw. „Januszy” próbują zrobić wszystko, aby „podstawić mu nogę” w życiu osobistym i pracy zawodowej. Szpicel i denuncjator to teraz zajęcia cieszące się największym autorytetem w polskim społeczeństwie.

Rzeczywisty obraz wojny

Pragnąc podejmować racjonalne decyzje warto wyrobić sobie rzetelny ogląd na stan spraw na Ukrainie i spróbować uchwycić rzeczywisty obraz konfliktu. Jedną z najmniej zawodnych, jak i najbardziej odporną na manipulacje jest metoda statystyczna. Trzeba po prostu policzyć stan wyjściowy zasobów militarnych stron konfliktu, policzyć dotychczasowe straty, oraz oszacować czy pozostałe zasoby wystarczą, aby osiągnąć sukces lub dalej móc prowadzić wojnę.

W przedstawionych poniżej dwóch tabelach zestawiono zasoby i straty obu stron na dzień 16-17 kwietnia 2022. Przyjęto oficjalne dane Ministerstwa Obrony Federacji Rosyjskiej oraz sztabu generalnego Sił Zbrojnych Ukrainy. Rosyjskie dane są bardziej wiarygodne, gdyż Rosjanie podając je pokazują szczegółowe dowody (zdjęcia, filmy) i wyliczenia. Dane ukraińskie dotyczące strat rosyjskich według rozeznania są 2-3 krotnie przesadzone. Ukraińcy podając je nie potrafią w żaden sposób potwierdzić ich materiałem zdjęciowym. Autor nie znalazł np. potwierdzenia zdjęciowego nawet 10 samolotów zestrzelonych przez wojska ukraińskie. Ale nie o to tutaj chodzi, Przyjęto dane deklarowane przez obie strony wojujące, aby uchwycić generalny stan zasobów i strat.

Straty armii ukraińskiej według strony rosyjskiej, według Ministerstwa Obrony Rosji na dzień 17 kwietnia 2022

	Stan na luty 2022	Stracono do 17.04.2022	Procent strat
Samoloty	159	134	84
Helikoptery	147	105	71
Bezzałogowce	500	460	92
Zestawy przeciwlotnicze	300	246	82
Czołgi i bojowe wozy piechoty	2596+4000	2,269	34
Wyrzutnie rakiet	490	252	51
Artyleria Polowa i Moździerze	3107	987	32
Wozy specjalistyczne	5000	2158	43
Flota	38	38	100
Żołnierze	209	23 367 zabici	11
		30 000 ranni – szacunek	14

Straty sił rosyjskich według sztabu generalnego Sił Zbrojnych Ukrainy na dzień 16 kwietnia 2022.

	Stan na luty 2022	Stracono do 16.04.2022 Według wersji ukraińskiej	Procent strat
Samoloty bojowe	2100	163	7,76
Helikoptery	2050	144	7,02
Bezzałogowce	3000	135	4,50
Zestawy przeciwlotnicze	5000	66	1,32
Czołgi	24 000 (z rezerwami)	756	3,15
Bojowe wozy piechoty	40 500 (z rezerwami)	1976	4,88
Wyrzutnie rakiet (bez strategiczných)	3391	122	3,60
Artyleria Polowa i Moździerze	20 000 (bez rezerw)	366	1,83
Wozy specjalistyczne	40 000 (bez rezerw)	1443	3,61
Flota	605	2	0,33
Żołnierze	900 000	20 000	2,22

Jak możemy wywnioskować z powyższych zestawień Ukraina utraciła do tej pory większość swojego sprzętu wojennego. Wyposażenie wojsk lądowych (artyleria, czołgi, BWP) zostało już w prawie 50% zniszczone przez Rosjan. Marynarka wojenna i lotnictwo nie istnieją od dawna. Nastąpił także poważny ubytek w sile żywej – około 20% żołnierzy zostało wyłączonych z walki.

Z kolei straty Rosjan (mocno przesadzone przez Ukraińców) stanowią ułamek ich zasobów militarnych– to zaledwie około 2-3% faktycznych możliwości Federacji Rosyjskiej, a w rzeczywistości nawet mniej. Zapasy sprzętowe Rosjan są stale uzupełniane przez przemysł albo przemieszczane z głębi kraju na linię frontu.

Najważniejsze w długotrwałym prowadzeniu wojny jest sprawne dostarczanie wojskom amunicji, materiałów pędnych i żywności oraz finasowanie konfliktu. Ukraina, jako jedno z

najuboższych krajów Europy posiadała zaledwie 30 mld USD rezerw walutowych, podczas gdy Rosja ma ich aż 630 mld. Ukraina prawie całą potrzebną ropę niezbędną dla walczącej armii importuje z zagranicy- głównie z Białorusi, produkcja własna jest niewielka, podczas gdy Rosja jest jednym z największych jej producentów na świecie. Trzeba także dodać, że obecnie wszystkie pracujące na Ukrainie rafinerie i większość baz materiałów pędnych zostały już zniszczone przez rosyjskie naloty. Ukraina może obecnie polegać wyłącznie na dostawach z zagranicy z Polski i Rumunii, ale też nie wiadomo, przez jaki jeszcze czas.

Wojna toczy się na terytorium Ukrainy i dezorganizuje całe państwo. Przede wszystkim zaś – do końca, dzień po dniu, obraca w perzynę i tak marną ukraińską infrastrukturę – drogi, koleje, porty, elektrownie, lotniska, podczas kiedy Rosja nie ponosi tutaj żadnych uszczerbków.

Dlatego wniosek jest oczywisty. Ukraina nie może wygrać tej wojny. Większość sprzętu wojskowego, znaczna część armii jest unieszkodliwiona, zapasy materiałowe są praktycznie wyczerpane i stale niszczone a w wielu regionach brakuje już żywności. Głodują już nawet wojska ukraińskie, które dopuszczają się rabunków na okolicznych mieszkańcach.

Z kolei Rosja poświęciła zaledwie drobny ułamek swoich ogromnych zasobów i stale je odnawia zwiększając stale ilość sprzętu i materiałów dosyłanych na linię frontu. Wojna cieszy się poparciem 80% Rosjan, którzy zjednoczyli się przy prezydencie Putinie i nic nie zapowiada zmiany tych preferencji.

Dlatego nie bójmy się wyciągać oczywistego wniosku. Ukraina tę wojnę przegrała i dalsze prowadzenie nie zmieni jej ostatecznego wyniku. Rosjanie posiadają absolutną przewagę we wszelkich aspektach, poczynając od dominacji w powietrzu, poprzez zaawansowanie techniczne wojsk, a skończywszy na zabezpieczeniu materiałowym. Przewaga ta stale rośnie i wojska

ukraińskie nie są zdolne do żadnych działań zaczepnych i nigdy już nie będą.

Wnioski dla Polski.

Skoro przegrana Ukrainy w toczącej się wojnie jest sprawą oczywistą zastanówmy się, nad jakie wnioski płyną dla nas i jak powinniśmy się zachować, aby nie uciapało bezpieczeństwo państwa i obywateli.

Niewątpliwie, jako najważniejszą sprawę powinniśmy rozważyć sens dalszych dostaw polskiego uzbrojenia i materiałów pędnych dla armii ukraińskiej, które i tak nie zmienią wyniku starcia na Ukrainie, a stanowią olbrzymie obciążenie dla budżetu Polski, które dodatkowo musi ponosić ciężar utrzymania prawie 3 mln ukraińskich uchodźców. Poza tym dostawy te mogą zostać uznane przez zwycięskich Rosjan za casus belli i sprowadzić na nasze domy zagrożenie wojenne. Dobrze wiemy, że państwa NATO nie chcą interweniować bezpośrednio na Ukrainie, gdyż oznaczałoby to III wojnę światową. To karmienie Ukraińców mrzonkami i złudzeniami na pomoc zachodnią, a tej nie będzie.

Jako, że Ukraina jest naszym sąsiadem Polska zamiast dolewać benzyny do konfliktu powinna się zaangażować jak najszybciej w zainicjowanie procesu pokojowego. Jest w naszym interesie, aby wojna nie rozlała się dalej i nie zablokowała pomostu handlowego Wchód – Zachód, gdyż wówczas Polska utraci wszystkie profity z racji swojego tranzytowego położenia w Europie. Dlatego polski rząd i wszystkie opcje polityczne powinny stać się ambasadorami pokoju w naszej części kontynentu.

Polski interes gospodarczy wymaga także nie zrywania kontaktów z Białorusią i Rosją, gdyż poprzez te państwa przebiegają główne kontynentalne korytarze handlowe do Chin, ponadto Rosja jest głównym dostawcą węglowodorów, które są niezbędne polskiej gospodarce i obywatelom. Dodatkowo po zwycięstwie na Ukrainie to Rosja będzie kształtować stosunki polityczne na

wschodzie kontynentu. Nie ma żadnego ważnego powodu abyśmy dobrowolnie ograniczali sobie możliwości prowadzenia polityki w przyszłości.

Nie bójmy się myśleć o sobie i naszych interesach.

To nie nasza wojna.

Piotr Panasiuk

„Traktat Pandemiczny” czyli kto ma klucze do WHO



*„Traktat Pandemiczny”, który unieważnia lub uchyla decyzje rządów krajowych lub lokalnych, przekazałby ponadnarodowe uprawnienia niewybieralnemu biurokracie lub „ekspertowi”, który mógłby z nich korzystać **całkowicie według własnego uznania** i w oparciu o **całkowicie subiektywne kryteria**.*

—*—

W menu na dziś danie traktatowe. W zgiełku medialnym spowodowanym konfliktem zbrojnym na wschodzie, tzw. elity wykorzystują ten czas, aby pozmieniać to i owo w umowach międzynarodowych i przygotować nas na ‘nowe pandemic’. Gdy ucichnie wojenna wrzawa, możemy znaleźć się w zupełnie nowej rzeczywistości.

Zapraszam do lektury.

„Traktat pandemiczny” przekaże WHO klucze do globalnego rządu

Sugerowane klauzule będą zachęcać do zgłaszania „pandemii” i karać narody za „nieprzestrzeganie”

Pierwsze publiczne przesłuchania w sprawie proponowanego „Traktatu pandemicznego” są już zamknięte, a kolejna tura ma się rozpocząć w połowie czerwca.

Próbowaliśmy utrzymać ten temat na naszej pierwszej stronie, tylko dlatego, że główny nurt tak bardzo go ignoruje i masowo publikuje stronnicze [partisan] obrazy wojenne i propagandę.

Kiedy my – i inni – linkowaliśmy do strony z publicznie dostępnymi danymi, wywołało to taką reakcję, że □□strona internetowa WHO faktycznie na chwilę się zawiesiła lub udawali, że się zawiesiła, aby ludzie przestali wysyłać im listy.

Tak czy inaczej, to wygrana. Miejmy nadzieję, że uda nam się to powtórzyć latem.

Póki co, wszystko wskazuje na to, że skąpe doniesienia prasowe, głównie na dalszych stronach internetowych, będą koncentrować się na uczynieniu traktatu „wystarczająco silnym” i zapewnianiu, że rządy krajowe będą mogły być „pociągane do odpowiedzialności”.

Artykuł w brytyjskim [The Telegraph z 12 kwietnia](#) w nagłówku:

Realne ryzyko, że traktat pandemiczny może być „zbyt rozwodniony”, aby powstrzymać nowe epidemie

Dalej koncentruje się na raporcie z Panelu w ramach Światowej Konwencji Zdrowia Publicznego (Global Public Health Convention, GPHC) i cytuje jedną z autorek raportu, Barbarę Stocking:

Naszą największą obawą [...] jest to, że zbyt łatwo jest myśleć, że odpowiedzialność nie ma znaczenia. Mieć traktat, w którym nie ma mowy o odpowiedzialności, to szczerze mówiąc, nie ma sensu mieć traktatu w ogóle”.

Raport GPHC mówi dalej, że obecne Międzynarodowe Przepisy Zdrowotne są „zbyt słabe” i wzywa do utworzenia nowego „niezależnego” międzynarodowego organu do „oceniania gotowości rządu” i „publicznego upominania lub chwalenia krajów, w zależności od stopnia przestrzegania przez nie zestawu uzgodnionych wymagań”.

Inny artykuł, [opublikowany przez London School of Economics](#), którego współautorami są członkowie Niemieckiego Sojuszu na rzecz Zmian Klimatu i Zdrowia (KLUG), również dość mocno forsuje ideę „odpowiedzialności” i „podporządkowania”:

Aby ten traktat miał zęby, organizacja, która nim rządzi, musi mieć władzę – polityczną lub prawną – by egzekwować jego przestrzeganie.

Jest to również odzwierciedlenie raportu ONZ [z maja 2021r.](#), w którym wzywa się do zwiększenia uprawnień dla WHO:

W swojej obecnej formie WHO nie posiada takich uprawnień [...] Aby kontynuować realizację traktatu, WHO musi być zatem wzmocniona – finansowo i politycznie.

Zaleca zaangażowanie w negocjacje „podmiotów niepaństwowych”, takich jak Bank Światowy, Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Światowa Organizacja Handlu i Międzynarodowa Organizacja Pracy, i sugeruje by traktat oferował zachęty finansowe do

wczesnego zgłaszania „nagłych sytuacji zdrowotnych”
[podkreślenie dodane]:

*W przypadku ogłoszonego stanu zagrożenia zdrowia środki muszą płynąć do krajów, w których występuje takie zagrożenie, uruchamiając elementy reagowania, **takie jak finansowanie i wsparcie techniczne**. Są one szczególnie istotne w przypadku krajów LMIC i mogą być wykorzystywane do zachęcania i usprawniania terminowego udostępniania informacji przez państwa, zapewniając je jednocześnie, że nie będą podlegać arbitralnym sankcjom handlowym i podróżnym za zgłoszenie, **ale zamiast tego otrzymają niezbędne środki finansowe i zasoby techniczne**, których potrzebują, aby skutecznie reagować na epidemię.*

Na tym jednak się nie kończy. Podnoszą również kwestię **karania** krajów za „nieprzestrzeganie”:

*[Traktat powinien posiadać] elastyczny system zachęt, [w tym] sankcje, takie jak publiczne nagany, **sankcje ekonomiczne lub odmowa świadczeń**.*

Aby przetłumaczyć te sugestie z języka biurokratycznego na angielski:

- Jeśli zgłosisz „ogniska chorób” w „terminie”, otrzymasz „zasoby finansowe”, aby sobie z nimi poradzić.
- .
- Jeśli nie zgłosisz wybuchów epidemii lub nie zastosujesz się do zaleceń WHO, stracisz pomoc międzynarodową i będziesz musiał stawić czoła embargom handlowym i sankcjom.

W połączeniu te proponowane zasady **dosłownie zachęcałyby do zgłaszania ewentualnych „ognisk choroby”**. Dalekie od zapobiegania „przyszłym pandemiom”, aktywnie by do nich zachęcały.

Rządy krajowe, które odmawiają takiej gry, są karane, a ci, którzy do niej wejdą, otrzymują zapłatę – to akurat nic nowego. Widzieliśmy to już w przypadku Covida.

Dwa kraje afrykańskie – [Burundi](#) i [Tanzania](#) – miały prezydentów, którzy zakazali WHO wstępu do swoich państw i odmówili przyłączenia się do narracji pandemicznej. Obaj prezydenci zmarli niespodziewanie w ciągu kilku miesięcy od tej decyzji, ale zaraz zastąpili ich nowi prezydenci, którzy natychmiast odwrócili covidową politykę swoich poprzedników.

Niespełna tydzień po śmierci prezydenta Pierre’a Nkurunzizy MFW zgodził się [umorzyć prawie 25 milionów dolarów długu narodowego Burundi](#), aby pomóc w walce z „kryzysem” Covid19.

Zaledwie pięć miesięcy po śmierci prezydenta Johna Magufuliego nowy rząd Tanzanii otrzymał od MFW **600 milionów dolarów** na [„zajęcie się pandemią Covid19”](#).

To chyba całkiem jasne, co się tutaj wydarzyło, prawda?

Globaliści poparli zamachy stanu i nagrodzili sprawców „pomocą międzynarodową”. Propozycje traktatu pandemicznego po prostu legitymizowałyby ten proces, zastępując metody *ukryte*, sposobami *jawnymi* i oficjalnymi.

Teraz, zanim omówimy implikacje nowych uprawnień, przypomnijmy sobie zakres władzy, którą WHO już posiada:

- Światowa Organizacja Zdrowia jest jedyną instytucją na świecie uprawnioną do ogłoszenia „pandemii” lub zagrożenia zdrowia publicznego o zasięgu międzynarodowym (PHEIC).
- .
- Dyrektor Generalny WHO – stanowisko niewybieralne – jest jedyną osobą, która kontroluje tę władzę.

Widzieliśmy już, jak WHO nadużywa tych uprawnień, aby stworzyć fałszywą pandemię z powietrza... i nie mówię tu o covid.

Przed 2008r. WHO mogła ogłosić pandemię grypy tylko wtedy, gdy była „ogromna liczba zgonów i chorób” **ORAZ** istniał nowy i odrębny podtyp. W 2008 roku WHO poluzowała definicję „pandemii grypy”, aby usunąć te dwa warunki.

Jak wskazano [w liście z 2010 roku do British Medical Journal](#), zmiany te oznaczają, że „wiele wirusów grypy sezonowej może być sklasyfikowane jako grypa pandemiczna”.

Gdyby WHO nie wprowadziła tych zmian, wybuch „[świńskiej grypy](#)” [w 2009 roku](#) **nigdy** nie mógłby zostać nazwany pandemią i prawdopodobnie przeszedłby bez zauważenia.

Zamiast tego dziesiątki krajów wydały miliony dolarów na szczepionki przeciwko świńskiej grypie, których nie potrzebowały i które nie działały, aby walczyć z „pandemią”, która spowodowała mniej niż 20 000 zgonów. Wiele osób odpowiedzialnych za doradzanie WHO w sprawie ogłoszenia świńskiej grypy stanem zagrożenia zdrowia publicznego okazało się później mieć powiązania finansowe z producentami szczepionek.

Pomimo tego historycznego przykładu rażącej korupcji, jedna proponowana klauzula traktatu pandemicznego jeszcze bardziej ułatwiłaby ogłoszenie PHEIC [Public Health Emergency of International Concern]. Według raportu z maja 2021r. „Covid19: Spraw, aby była to ostatnia pandemia” [podkreślenie dodane]:

*Przyszłe deklaracje PHEIC składane przez Dyrektora Generalnego WHO powinny w uzasadnionych przypadkach **opierać się na zasadzie ostrożności***

Tak, proponowany traktat może pozwolić DG WHO na ogłoszenie stanu globalnego zagrożenia, aby zapobiec potencjalnej pandemii, a nie w odpowiedzi na nią. Rodzaj pandemicznej [prewencji kryminalnej](#) [pandemic pre-crime].

Jeśli połączysz to z proponowaną „pomocą finansową” dla krajów

rozwijających się, które zgłaszają „potencjalne sytuacje kryzysowe dotyczące zdrowia”, możesz zobaczyć, co zamierzają stworzyć – w gruncie rzeczy przekupują rządy trzeciego świata, aby dać WHO pretekst do ogłoszenia stanu wyjątkowego.

Znamy już inne kluczowe punkty, które prawdopodobnie zostaną uwzględnione w traktacie pandemicznym. Prawie na pewno spróbują wprowadzić [międzynarodowe paszporty szczepień](#) i przelać fundusze do kieszeni Big Pharmacy, aby produkowali „szczepionki” [jeszcze szybciej i przy jeszcze mniejszej liczbie testów bezpieczeństwa](#).

Ale wszystko to błędnie w porównaniu z umocowaniami prawnymi, jakie potencjalnie mogą zostać przekazane dyrektorowi generalnemu WHO (lub jakimukolwiek nowemu „niezależnemu” organowi, jaki mogą utworzyć) do karania, rozdawania nagan lub nagradzania rządów krajowych.

„Traktat Pandemiczny”, który unieważnia lub uchyla decyzje rządów krajowych lub lokalnych, przekazałby ponadnarodowe uprawnienia niewybieralnemu biurokracie lub „ekspertowi”, który mógłby z nich korzystać **całkowicie według własnego uznania** i w oparciu o **całkowicie subiektywne kryteria**.

Taka jest istota definicji technokratycznego globalizmu.

Kit Knightly

Jawa i mrzonki. Porzućcie marzenia



Wojna na Ukrainie trwa już ponad miesiąc, a ani rozstrzygnięcia, ani końca nie widać. Trudno się temu dziwić w sytuacji, gdy na Ukrainie Rosja prowadzi wojnę z NATO. Wprawdzie NATO nie jest bezpośrednio zaangażowane w operacje wojskowe, ale, pod pretekstem samoobrony, dostarcza Ukrainie broń, amunicję i inne materiały wojenne za darmo, więc nie można tego nazwać zwyczajnym handlem.

Tylko do 27 lutego USA, Wielka Brytania, Kanada, Francja, Niemcy, Polska, Belgia, Czechy, Holandia, Grecja, Litwa, Łotwa, Estonia, Portugalia, Rumunia, Słowacja, dostarczyły tam różnego rodzaju broń ogromnej wartości. Tylko USA do 27 lutego przekazały Ukrainie broń za prawie 3 miliardy dolarów, a przecież to był dopiero początek. Polska, przez którą przechodzi większość tych dostaw, zachowuje się wzorowo, bo – jak zauważył rzecznik Ministerstwa Spraw Zagranicznych pan Łukasz Jasina – „jesteśmy tutaj sługami narodu ukraińskiego, jego próśb”. Ta deklaracja była niewątpliwie szczera, toteż nic dziwnego, że władze ukraińskie zachowują się wobec opieszałych państw NATO mocarstwowo, zapewne w przekonaniu, że tak będzie również po wojnie, a może nawet zawsze? Być może właśnie dlatego została tam przyjęta jeszcze w lipcu ubiegłego roku ustawa o „rdzennej ludności Ukrainy”, która co prawda – jak się wydaje – dotyczy przede wszystkim Krymu, ale można też będzie interpretować ją szerzej – jak zajdzie taka potrzeba.

Na razie jednak wojna trwa, więc mamy trzy możliwości. Pierwsza – że Ukraina tę wojnę wygra. Za wygranie uważam wyparcie Rosji ze wszystkich części państwa ukraińskiego, łącznie z Krymem. W takiej sytuacji Ukraina stałaby się niewątpliwie rodzajem regionalnego mocarstwa tym bardziej, że

niezależnie od wyniku wojny, napłyną tam kolejne miliardy nie tylko na armię, ale również – na odbudowę ze zniszczeń. Czy w tych kosztach partycypowałaby również Rosja? Prawdopodobnie, gdyby jej klęska była spektakularna, czego wykluczyć przecież nie można, zwłaszcza opierając się na komunikatach ukraińskiego Sztabu Generalnego czy wywiadu.

Manifest Antykomunistyczny! Już dostępny!

Druga możliwość jest taka, że Ukraina tej wojny nie wygra, ale też nie przegra. Wtedy Rosja zajmie wschodnią, uprzemysłowioną część Ukrainy, odetnie ją od Morza Czarnego, pozostawiając w gestii ukraińskich władz słabiej uprzemysłowioną część zachodnią – dlatego w takim przypadku nie można mówić o wojnie przegranej przez Ukrainę. Z polskiego punktu widzenia ta możliwość wydaje się najbardziej korzystna, bo nadal mielibyśmy na wschodzie niepodległą Ukrainę, w dodatku – trwale skonfliktowaną z Rosją – ale nie mocarstwową. Wreszcie możliwość trzecia – że Ukraina tę wojnę przegra, to znaczy – Rosja zmusi ją do kapitulacji, to znaczy – zainstaluje tam „bratni” rząd i zawrze z nim układ o przyjaźni – jak ze zbuntowanymi republikami: doniecką i ługańską. Najbardziej prawdopodobna wydaje się dziś możliwość druga, bo – jak pokazuje sytuacja na froncie – Rosja uzyskanie lądowego korytarza do Krymu ma już w zasięgu ręki, podobnie jak odcięcie Ukrainy od wybrzeża czarnomorskiego. W tej sytuacji to Rosja jest zainteresowana w jak najszybszym zakończeniu działań wojennych i zawarciu z Ukrainą pokoju, a przynajmniej rozejmu, w którym Ukraina tę zmianę swoich granic przyjąłaby do wiadomości, nawet bez formalnego uznania. Musimy bowiem pamiętać, że i Rosja nie może zbyt długo przeciągać struny, bo przecież na Ukrainie wojuje z NATO – co prawda do ostatniego Ukraińca, niemniej jednak. Doświadczenia II wojny światowej, w której starła się „rasa”, „masa” i „kasa” pokazują, że rozsądek nakazuje, by z „kasą” się liczyć.

Porzućcie marzenia

Wspominam o tym wszystkim dlatego, że wojna na Ukrainie

rozpaliła wyobraźnię wielu polskich patriotów do tego stopnia, że własne marzenia zaczynają brać za rzeczywistość. Czy naprawdę, czy tylko w nadziei, że w ten sposób przypodobają się Naczelnikowi Państwa, który w nagrodę hojnie ich wyfutruje za pośrednictwem spółek Skarbu Państwa – o to mniejsza – chociaż wykluczyć tego nie można, choćby z powodu, że ma on skłonności do – jak to nazwał Aleksander Smolar na etapie, gdy panu red. Michnikowi wywietrzał już z głowy entuzjazm do prezydenta Lecha Kaczyńskiego – „postjagiellońskich mrzonek”. Te „mrzonki” polegają na przekonywaniu, że Rosję, która jest „niepoprawna, trzeba „zniszczyć”, a wtedy, w wytworzonej w ten sposób politycznej próżni, powstanie organizm przypominający Rzeczpospolitą Obojga Narodów, oczywiście z Polską, jako jej politycznym kierownikiem. Jest to wizja wprawdzie piękna, ale chyba zbyt piękna, by była prawdziwa. Rzecz w tym, że od czasów mocarstwowej Rzeczypospolitej, we Wschodniej Europie trochę się zmieniło. W XIX wieku zaczęły kształtować się tam nacjonalizmy: ukraiński, litewski i nieco później – białoruski – które powstawały w opozycji do polskości – i tak już zostało. Czy tak zostało z powodu podjudzania tych nacjonalizmów przez Niemcy i Rosję w celu szachowania Polski, czy też złożyły się na to również antypolskie antagonizmy na tle socjalnym, o to mniejsza, bo ważniejsze jest to, że ani Ukraina, ani Białoruś, ani nawet Litwa nie chcą nawet słyszeć o poddaniu się polskiemu kierownictwu politycznemu.

Jeśli już widzą jakąś wspólnotę z Polską, to raczej na zasadzie sformułowanej właśnie przez rzecznika MSZ w Warszawie pana Jasinę, który – chociaż został za to ofuknięty – może mieć więcej oleju w głowie niż Naczelnik Państwa, a w każdym razie – więcej poczucia rzeczywistości. Warto w tym miejscu przypomnieć, że „postjagiellońskim mrzonkom” prezydenta Lecha Kaczyńskiego położył kres prezydent USA Barack Obama, dokonując 17 września 2009 roku słynnego „resetu” w stosunkach amerykańsko-rosyjskich, którego politycznym owocem było proklamowane 20 listopada 2010 w Lizbonie „strategiczne partnerstwo NATO-Rosja”, będące najważniejszym postanowieniem

„porządku lizbońskiego”, którego kamieniem węgielnym był podział Europy w strefę niemiecką i strefę rosyjską, prawie dokładnie wzdłuż linii Ribbentrop-Mołotow. I chociaż pod koniec 2013 roku prezydent Obama wysadził ten porządek w powietrze, z czego natychmiast skorzystała Rosja, by oskubać Ukrainę, to z „postjagiellońskich mrzonek” naszych Umiłowanych Przywódców pozostały jedynie kabotyńskie, lizusowskie okrzyki, jakie wydawali na kijowskim „majdanie” pod adresem Ukraińców. Teraz było podobnie: „koncepcję” Naczelnika Państwa, by pod pretekstem uzbrojonej po zęby „misji pokojowej” NATO na Ukrainie wciągnąć Sojusz Atlantycki w „niszczenie Rosji”, zlikwidował prezydent Biden po wysłuchaniu opinii państw poważnych, a prezydent Zełeński, najwyraźniej przez kogoś oświecony, też się od „koncepcji” zdystansował się udając, że jej „nie rozumie”, chociaż zrozumiał w lot, a prawdziwe powody wyjaśnił już w następnym zdaniu: „Na szczęście albo niestety, to jest nasz kraj, a ja jestem prezydentem, więc to my będziemy decydowali, czy będą tu inne siły”.

On najwidoczniej też uważa, podobnie jak pan rzecznik MSZ Jasina, że Polska, jeśli już, to co najwyżej może być „sługą narodu ukraińskiego” oczywiście pojmowanego według kryteriów przewidzianych w ustawie „o rdzennej ludności Ukrainy”. Jest to tym bardziej prawdopodobne, że znaczna część narodu ukraińskiego już przeniosła się do Polski, która właśnie służy mu, jak tylko może, poczytując to sobie za cnotę. Czy ten kubeł zimnej wody na Naczelnika podziałał – nie można wykluczyć, bo zaraz po fiasku „koncepcji” proklamował powrót do rozdziobowywania katastrofy smoleńskiej. Przy jej pomocy „zniszczyć Rosji” się jednak nie da, ale oczywiście zaprzyjaźnione media będą nadal opływały w dostatki.

Nasz wybór

W tej sytuacji Polska ma dwa wyjścia: albo pozostać w Unii Europejskiej, to znaczy – pożegnać się już nawet nie z „postjagiellońskimi mrzonkami”, ale nawet z mrzonkami o niepodległości i zgodzić się na status niemieckiego landu w IV

Rzeszy, albo podjąć próbę przyłączenia się do Stanów Zjednoczonych, jako kolejny stan tego państwa. To co prawda oznaczałoby również konieczność rezygnacji z mrzonek o niepodległości, ale – jak w swoim czasie mówił mi Guy Sorman – porównywać można tylko możliwości istniejące z istniejącymi. Zatem tak naprawdę stoimy przed alternatywą – czy zostać niemieckim landem, czy stanem USA. Jaka jest nasza sytuacja jako niemieckiego landu – to już mniej więcej wiemy na podstawie doświadczeń dotychczasowych – a ona może tylko się pogarszać w miarę, jak w Unii Europejskiej będzie narastał socjalizm, a presja na promocję sodomczyków i ekologizmu będzie narastała do poziomu paranoi.

Stany Zjednoczone od pewnego czasu pod tym względem lepiej nie wyglądają, ale tam pozycja prezydenta Bidena i Partii Komunis..., to znaczy pardon – oczywiście Partii Demokratycznej, nie jest taka znowu silna, by to się nie mogło zmienić, a ponadto – w odróżnieniu od Unii Europejskiej, panuje tam większy pluralizm prawny. Na przykład, mimo że w USA panuje zakaz poligamii, senat stanu Utah zdecydował, że w tym stanie nie jest ona przestępstwem, tylko wykroczeniem, za które grozi symboliczna grzywna, a jest to zaledwie wstęp do całkowitej legalizacji wielożeństwa. Zatem, chociaż administracja prezydenta Józia Bidena forsuje wszystkie możliwe zboczenia, być może udałoby się uchronić Polskę jako jeden ze stanów USA przed tą plagą?

Wprawdzie Polska leży daleko od Ameryki Północnej, ale Hawaje też leżą ponad 3500 kilometrów od zachodniego wybrzeża, czyli w odległości mniej więcej takiej jak Portugalia od Polski, więc niekoniecznie musiałoby to być przeszkodą tym bardziej, że Izrael, który wprawdzie formalnie nie jest stanem USA, przecież wywiera na politykę tego państwa znacznie większy wpływ niż np. Arizona, a leży od Ameryki jeszcze dalej. Odległość, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, nie powinna być problemem, zatem zajmijmy się potencjalnymi korzyściami takiej zmiany.

Co prawda musielibyśmy pożegnać się z mrzonkami o niepodległości, ale w Unii Europejskiej nie mamy żadnej innej alternatywy, co zostało postanowione w traktacie z Maastricht, który wszedł w życie w 1993 roku. W tej sytuacji opowieści o „Europie Ojczyzn”, to kolejna mrzonka, jeszcze większa od tych „postjagiellońskich”. Szkoda każdego słowa. Gdyby tedy Polska została kolejnym stanem USA, to nie musielibyśmy z trwogą i niepewnością myśleć o art. 5 traktatu waszyngtońskiego, bo on nie miałby tu nic do rzeczy, zaś ewentualny atak Rosji na Polskę byłby już uderzeniem na Stany Zjednoczone. Jak pamiętamy, nigdy nic takiego się nie zdarzyło, bo zgodnie z doktryną elastycznego reagowania i Rosja i USA konfrontują się ze sobą bezpośrednio, ale na przedpolach, np. na Ukrainie. W tej sytuacji Ameryka przestałaby promować w Polsce narwańców, na czym nasza scena polityczna mogłaby tylko skorzystać. Nie musielibyśmy też kombinować, za co uzbroić dodatkowe 200 tys. żołnierzy, o których chcemy powiększyć naszą niezwyciężoną armię, bo zatroszczyłyby się o to Stany Zjednoczone, nawet bez specjalnych prośb z naszej strony. Zresztą skoro już teraz pan prezydent Duda mówi o kilkunastu, a w porywie serca gorejącego – nawet o kilkudziesięciu tysiącach żołnierzy amerykańskich w Polsce, to gdyby było ich 300 tysięcy, wielkiej różnicy by nie było tym bardziej, że i tak i tak podlegaliby oni rozkazom z Waszyngtonu, natomiast rozkazom Warszawy mogłaby podlegać obrona terytorialna – jak w USA gwardia narodowa.

Po drugie jako stan USA musielibyśmy wystąpić z Unii Europejskiej, za co prawdopodobnie nie spotkałyby nas żadne konsekwencje, przynajmniej dopóty, dopóki wojska amerykańskie stacjonują w Niemczech. Nie byłoby łamania sobie głowy, czy przystępować, czy nie przystępować do unii walutowej, bo walutą naszą stałby się dolar. Nie muszę dodawać, że moglibyśmy w jednej chwili plunąć na wszystkie „wyroki” TSUE i nie przejmować się karami, jakie na nas nakłada, bo Ameryka zaraz pokazałaby mu ruski miesiąc. Niewiarygodne, ale dzięki przystąpieniu do USA, moglibyśmy przestać się obawiać nawet o roszczenia żydowskie. Żydzi w stosunku do USA żadnych roszczeń

majątkowych nie wysuwają, kontentując się subwencją rządu amerykańskiego, którą – jak piszą uczeni politologowie w książce „Lobby izraelskie w USA” – zaraz pożyczają temu rządowi na wysoki procent. Wprawdzie Stany Zjednoczone przyjęły ustawę nr 447, ale przecież ani myślą zmieniać własnego prawa w taki sposób, w jaki sugerowały tam Polsce, więc również pod tym względem byłoby bezpiecznie.

Jedyną trudność, jaką widzę, to kwestie językowe, ale to rzecz mniejszej wagi, bo – po pierwsze – coraz więcej młodych ludzi używa cudzoziemskich słów, jak „hejt”, albo inne takie, po drugie – w Stanach Zjednoczonych też nie wszyscy mówią po angielsku, nawet przeciwnie – coraz więcej mieszkańców USA mówi językiem hiszpańskim i na przykład nawet na lotnisku w Chicago już kilka lat temu zauważyłem napisy w obydwu językach, chociaż przedtem były tylko po angielsku. No to dlaczego w naszym stanie język polski nie miałby być dominujący – oczywiście obok urzędowego angielskiego? Jak widzimy, chyba będziemy musieli zrewidować nasze dotychczasowe spojrzenie na to, co realne i to, co nierealne, bo ewentualny akces do USA jest chyba bardziej prawdopodobny, a przede wszystkim – bardziej realistyczny – niż „postjagiellońskie mrzonki” starzejącego się Naczelnika Państwa.

Stanisław Michalkiewicz

Twarze Kijowa: reżyser i aktor



Rosja jest na wykończeniu. Białoruś przystąpi do wojny. Rosjanie gwałcą dzieci. Ludzkie zwłoki zaminowywane są przez rosyjskich żołnierzy. Pszczoły atakują rosyjskich agresorów. Rosja wkrótce zawrze pokój na warunkach Kijowa. Pokój tuż-tuż, a może jednak trochę później.

Tysiącami, często wzajemnie sprzecznych komunikatów dzieli się z Ukrainą i światem **Aleksiej Arestowicz** (na zdjęciu), doradca **Wołodymyra Zełeńskiego**, wyrastający na czołowego reżysera propagandy władz w Kijowie. Media polskie każdą podawaną przez niego informację prezentują z nabożną powagą, niczym objawioną prawdę. Kim jest reżyser i dlaczego odnosi dziś manipulacyjny sukces?

Aktor

Urodził się 3 sierpnia 1975 roku w niewielkiej gruzińskiej miejscowości Dedoplis Tskaro. W jego oficjalnej biografii mowa jest o tym, że nie jest etnicznym Ukraińcem. Raczej dzieckiem wielkich przestrzeni i zmieszanych narodowości Związku Radzieckiego – w połowie Białorusinem, w połowie Polakiem. Wiadomo, że jego ojciec był wojskowym, oficerem armii radzieckiej. Po latach jego rodzina opuściła Gruzję i przeprowadziła się na Ukrainę. To tam Aleksiej Arestowicz ukończył liceum nr 178 w Kijowie, a następnie zdał egzaminy wstępne na biologię na stołecznym Uniwersytecie Narodowym im. Tarasa Szewczenki.

Wolał jednak zająć się innego rodzaju działalnością, bliższą duszy artysty – improwizatora. Przerwał studia. W 1992 roku zaczął występować jako aktor w kijowskim teatrze „Czarny Kwadrat” (ostatni raz na jego deskach wystąpił w 2020 roku).

Szpieg

Arestowicz interesował się jednak nie tylko aktorstwem. Pociągała go kariera wojskowa, a ściślej wywiadowcza. To dlatego podjął studia w Odesskim Instytucie Wojsk Lądowych, który ukończył z wykształceniem tłumacza wojskowego z języka angielskiego. Tłumacze w wojsku to, rzecz jasna, zazwyczaj funkcjonariusze armijnego wywiadu lub kontrwywiadu.

W 1999 roku (za czasów prezydentury **Leonida Kuczmy**) zaczął służyć jako oficer Głównego Zarządu Wywiadu Sił Zbrojnych Ukrainy. Szefem wojskowego wywiadu był wówczas **gen. Igor Smieszko**, w latach 2003-2005 stojący na czele Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, następnie doradca prezydenta Petra Poroszenki i kandydat w wyborach prezydenckich oraz w wyborach mera Kijowa. Smieszko to, nawiasem mówiąc, dość ciekawy przykład przenikania się świata polityki, biznesu i służb specjalnych nad Dnieprem.

Arestowicz odszedł z wywiadu wojskowego w 2005 roku. Motywy tej decyzji przedstawiał w późniejszych wywiadach. „Służyłem w Departamencie Badań Strategicznych Ministerstwa Obrony. Przygotowywane przez nas raporty trafiały bezpośrednio na biurko prezydenta, premiera, ministra obrony, przewodniczącego Rady Najwyższej itd. Sytuacja w kraju zmieniła się po ‘pomarańczowej rewolucji’. Nonsensem jest sytuacja, w której byli kierownicy cukrowni zaczynają wydawać rozkazy i pouczać czynnych oficerów, jak mają pełnić swą służbę, o czym kiedyś powiedziałem wprost dowództwu. W odpowiedzi usłyszałem: – Dokąd ty niby pójdziesz? Będziesz służył dalej. Następnego dnia nie przyszedłem do pracy i po długich wahaniach postanowiłem w końcu odejść” – wspominał w jednym z wywiadów ten okres.

Polityk – happener

Po odejściu z służby wywiadu Arestowicz rzucił się w chaotyczny wir ukraińskiej polityki. Z jakichś względów (być

może nieporozumień z przełożonymi w wojsku) zajął stanowisko jednoznacznie krytyczne wobec kijowskiego Majdanu 2004 roku, czyli tzw. pomarańczowej rewolucji. I przyłączył się do kierowanej przez **Dmytro Korczyńskiego** partii Bractwo. Ideologicznie ugrupowanie to określane bywa mianem nacjonalistyczno-anarchistycznego, choć używane przez nie barwy i symbolika nawiązują wprost do obozu czarno-czerwonego. Sam jego lider i założyciel znany był wcześniej przede wszystkim z tego, że brał udział w czeczeńskiej wojnie domowej przeciwko Moskwie, a także w wojnie w Abchazji – przeciwko niepodległościowcom abchaskim, po stronie Gruzji.

Był też działaczem Ukraińskiego Zgromadzenia Narodowego – Ukraińskiej Samoobrony Ludowej (UNA-UNSO), ugrupowania jednoznacznie neobanderowskiego, we władzach którego zasiadał syn Romana Szuchewycza, Jurij Szuchewycz. Korczyński nie odniósł większych sukcesów w polityce, w przeciwieństwie do wielu innych skrajnych nacjonalistów. Nadal obecny był jednak w mediach ukraińskich. W 2016 roku tak mówił o Polsce: „Obecnie w kraju tym rozwija się polski nacjonalizm i dzieje się to kosztem Ukraińców. Rosną tam żądania historyczne i terytorialne pod naszym adresem... Czyli będziemy w stanie wojny bądź przygotowań do niej przez najbliższe sto lat, to pewne”.

Korczyński, mimo braku politycznego znaczenia, rozkręcił całkiem niezły interes w poddanej skrajnej komercjalizacji polityce ukraińskiej. Jego ludzi wynająć mógł praktycznie każdy i w dowolnym celu, organizując jakiś protest. Oczywiście, nie bezpłatnie. W 2005 u jego boku staje Arestowicz, który wkrótce został wiceprzewodniczącym Bractwa. W 2009 roku to właśnie on kierował anarchistyczną akcją protestów partii pod hasłem „Precz ze wszystkimi!”. Jednocześnie, wraz z Korczyńskim, zaczyna ogłaszać prace nad planami obrony Krymu przed potencjalną rosyjską agresją.

Ich relacje z Moskwą są wszakże dość złożone. W 2005 roku Arestowicz, krytyczny wobec pomarańczowej rewolucji, jeździ na spotkania Ruchu Eurazjatyckiego **Aleksandra Dugina** do Moskwy i

tam razem z Korczyńskim wzywają do opracowania wspólnej, skutecznej taktyki przeciwko kolorowym rewolucjom na przestrzeni postradzieckiej. Do dziś niektórzy oponenci podejrzewają go w związku z tym o „agenturalne” powiązania z Kremlen, choć – biorąc pod uwagę faktyczną pozycję Dugina – jest to nieprawdopodobne.

Ostatnim akordem związku politycznego Arestowicza z Korczyńskim i jego Bractwem jest protekcja, jakiej udzielił mu ten ostatni w znalezieniu pracy. W 2009 roku zostaje zastępcą szefa administracji rejonu przymorskiego w Odessie. Merem tego miasta jest wówczas znajomy Korczyńskiego, **Eduard Gurwic**, antykomunistyczny polityk i biznesmen żydowskiego pochodzenia, który jeszcze w 1999 roku zasłynął przemianowaniem jednej z odesskich ulic z imienia pisarza **Aleksandra Gribojedowa** na ultranacjonalistę Szuchewycza. Arestowicz po kilku miesiącach odchodzi z pracy w Odessie. I znika na pewien czas z przestrzeni publicznej.

Psycholog

W międzyczasie obecny doradca Zełeńskiego kończy dość osobliwy kurs psychologiczny prowadzony przez rosyjskiego guru Aleksandra Kamieńskiego (pseudonim **Awessałom Podwodnyj**). Kamieński uprawia egzotyczną syntezę psychologii, praktyk ezoterycznych zainspirowanych nurtem New Age i metod terapeutycznych psychoanalizy. Arestowicz koncentruje się podczas nauki przede wszystkim na technikach oddziaływania i manipulowania.

Pozwoliło mu to na otwarcie własnej działalności tzw. coacha i doradztwa psychologicznego. Zaczyna rozwijać prywatną działalność w tej sferze, jednak wciąż najwyraźniej posiadane umiejętności chce wykorzystywać nie w biznesie, lecz raczej w wojsku, służbach i polityce.

Ekspert i „antyterrorysta”

W 2014 roku, po rozpoczęciu wojny domowej na Donbasie,

Arestowicz rozkręca swoją aktywność komentatorską w mediach społecznościowych. Zaczyna być zapraszany w roli eksperta przez kolejne ukraińskie media tradycyjne. Próbuje prognozować scenariusze dalszego przebiegu konfliktu. Warto jednak zwrócić uwagę, że wszelkie prognozy formułuje w taki sposób, by można było na pierwszy rzut oka pozytywnie zweryfikować ich prawdziwość. W istocie są to zazwyczaj przewidywania bardzo mgliste lub wielowariantowe. To jednak część promocji własnego wizerunku, której Arestowicz z powodzeniem zaczyna się oddawać.

Podobnym elementem tego rodzaju była zapewne podjęta przez niego decyzja o udziale w charakterze żołnierza kontraktowego w **Operacji Antyterrorystycznej (ATO) przeciwko mieszkańcom Donbasu**. Obecność tą wykorzystuje na dwa sposoby. Po pierwsze, zaczyna prezentować się coraz powszechniej jako wybitny ekspert i analityk ds. militarnych (obecność w strefie konfliktu zbrojnego ma uwiarygodniać jego status). Po drugie, tworzy legendę na temat własnej obecności w strefie konfliktu; opowiadając m.in. o tym, że 33 razy przekraczał linię frontu. Kłopot w tym, że nie stacjonował na tej linii, lecz w położonym daleko od niej Kramatorsku.

W efekcie setki tysięcy subskrybentów zaczyna oglądać profil Arestowicza w Facebooku, filmy na jego kanale YouTube. W pewnym momencie, w charakterystyczny dla siebie, mglisty sposób miał nawet przewidzieć wybuch wojny rosyjsko-ukraińskiej. Nadal prowadzi też szkolenia z zakresu psychologii, w czym pomaga mu coraz większa rozpoznawalność medialna.

Twarz Zełeńskiego

W 2019 roku i w pierwszej połowie 2020 roku w niewybrednych słowach atakuje niedawno wybranego na urząd prezydenta Zełeńskiego. Jesienią 2020 roku zaczyna chwalić prezydenta, po czym wkrótce zostaje rzecznikiem delegacji ukraińskiej w Trójstronnej Grupie Kontaktowej ds. porozumień mińskich.

Pozwala mu to zyskać rozpoznawalność na szczeblu międzynarodowym; to właśnie on przedstawia stanowisko Kijowa w omawianych przez wszystkie media negocjacjach w sprawie Donbasu.

Coraz częściej podkreśla, że o realizacji żadnych porozumień nie może być mowy. **W jednym z wywiadów w 2021 roku mówi wprost, że na Donbasie „wojna ukraińsko-rosyjska” trwać będzie jeszcze bardzo długo.** Gdy zostaje dodatkowo doradcą szefa Biura Prezydenta Andrieja Jermaka, we wrześniu 2021 roku mówi wprost: reintegracja Donbasu z Ukrainą to plan, który realizowany będzie w ciągu najbliższych 25 lat, a jakiegokolwiek rozmowy Kijowa z Donieckiem i Ługańskiem nie mają sensu.

Zawodowy propagandzista

Podczas służby na Donbasie Arestowicz trenuje stosowanie instrumentów propagandy wojennej. W 2015 roku, gdy doszło do okrażenia jednostek ukraińskich przez separatystów pod Debalcewem, utrzymuje – wbrew faktom i liczbom – że straty Kijowa są nieznaczące. W 2017 roku stwierdza wprost w jednym z wywiadów: „Drodzy przyjaciele! Sporo was oszukiwałem od wiosny 2014 roku. Fałszywe informacje przeze mnie przekazywane dotyczyły dwóch podstawowych obszarów: – stworzenia patriotycznej iluzji, w ramach której ‘wszyscy jesteśmy zjednoczeni, szanujemy się i jesteśmy bohaterami’, zaś przed Ukrainą jest świetlana przyszłość; – czarnej propagandy przeciwko Federacji Rosyjskiej. To były działania czysto propagandowe, powołane do życia w obliczu militarnej agresji Rosji przeciwko Ukrainie. Po trzech latach doszedłem do wniosku, że propaganda jest częścią wojny, możliwą i nawet konieczną (niestety) na zasadach anonimowych czyli pod warunkiem, że nie podpisujemy się pod nią własnym nazwiskiem”.

Aleksiej Arestowicz jest wizerunkowym magikiem wykonującym swoje sztuczki na zlecenie i dla własnej satysfakcji. Pomimo partyjnej przeszłości i agresywnych, teatralnych wypowiedzi, nie jest w najmniejszym stopniu ukraińskim nacjonalistą. **„Nie**

jestem patriotą. Nie tylko Ukrainy, ale żadnego państwa narodowego. Jestem patriotą 'projektu nr 5', projektu zjednoczonej Ziemi w duchu Pierre'a Teilharda de Chardina i Władimira Wiernadskiego. Spośród postaci nam współczesnych, najbliżej mi do Elona Muska, człowieka, który najbardziej konsekwentnie i aktywnie wciela w życie projekt przebudowy systemu społecznego 'Ludzkość' w wymiarze poliglobalnym... Na kwestie odbudowy historycznej pamięci, sprawiedliwości, walk, zwycięstw i klęsk, powstawania narodów, języków, dziejowych ran spoglądam niczym żołnierz na wesz. Pluję na to wszystko z wysokiej wieży noosferyzmu. Mogę nawet uznać ich znaczenie, ale dla mnie są po prostu nieinteresujące. Właśnie dlatego mówię w języku, w którym jest mi wygodniej. Jeśli jesteście patriotami, szanuję to. Ale bardzo nie podoba mi się ta odmiana patriotyzmu, która nas wszystkich uwiodła. Jeśli w jego imię mamy niektóre rzeczy przemilczeć i wywierać na kogoś presję, to ja w takim patriotyzmie nie biorę udziału" – mówił w wywiadzie. Na swoim kanale YouTube podkreślał, że będzie się posługiwał językiem rosyjskim z dwóch względów: dlatego, że to język, którym porozumiewał się w domu z rodziną i dlatego, że chce uprawiać skuteczną propagandę skierowaną do większej liczby ludzi.

Co ciekawe, Arestowicz uczciwie przyznał – mówiąc to w kontekście wycofania się Stanów Zjednoczonych z Afganistanu – że wprowadzanie jednakowych demokratycznych, uniwersalnych standardów w różnych krajach się nie sprawdza. Także na Ukrainie. Jeszcze przed wybuchem wojny proponował natomiast zmianę nazwy Ukrainy na Ukrainę-Ruś. Wprawdzie później stwierdził, że był to żart, jednak stanowiło to z pewnością ambitną próbę wrzucenia do debaty publicznej kwestii rywalizacji o dziedzictwo Rusi Kijowskiej.

Wizerunkowy majstersztyk

Aresowicz, który zawsze marzył o wpływaniu na ludzi, dziś wywiera na nich wpływ w skali globalnej. Formułowane przez niego narracje i dezinformacje kolportowane są nie tylko na

Ukrainie, ale na całym tzw. Zachodzie, a nawet częściowo na obszarze postradzieckim. **Niewątpliwie jest człowiekiem obdarzonym wielką kreatywnością i talentem manipulacyjnym.**

Naprzeciw niego do rywalizacji staje umundurowany **gen. Igor Konaszenkow**, rzecznik prasowy rosyjskiego Ministerstwa Obrony. Jego suche, sztywno wypowiedane komunikaty nie rozbudzają niczyjej wyobraźni. **Konaszenkow pochodzi z poprzedniej epoki, z ery sprzed mediów społecznościowych.** W Rosji coraz częściej problem się zauważa, ale jest już za późno na odzyskanie inicjatywy na froncie zmagania o narzucenie swojej narracji.

Arestowicz z pewnością nie jest samotnym geniuszem. **Wspomagają go najlepsze firmy z sektora PR ze Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii.** To jednak on odgrywa rolę jednej z twarzy Kijowa. Jest aktorem i reżyserem, wydaje się, że dużo bardziej samodzielny od swego formalnego pryncypała Zeleńskiego. Na razie, również w Polsce, jego wpływ na opinię publiczną jest znacznie większy od wpływu miejscowych polityków. Czy kiedyś, podobnie jak zrobił to w 2017 roku, opowie do jakich kłamstw się uciekał i ujawni techniki działania bardzo sprawnej ukraińskiej propagandy wojennej?

Mateusz Piskorski